

Bogdan Czaykowski

Znasz-li ten kraj?

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (31), 120-140

1995

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Świadectwa

Bogdan Czaykowski

Znasz-li ten kraj?

Kiedy byłem w Polsce w lecie 1973 roku (a byłem dni Czterdzieści i Cztery, po trzydziestu trzech latach niebytności w granicach państwa polskiego), a więc kiedy byłem w *Polsce*, zaczynała się właśnie faza odprężenia. Oficjalnie przyjechałem na VII Międzynarodowy Zjazd Słowistów, który odbywał się w drugiej połowie sierpnia, ale przyjechałem dużo wcześniej — z żoną, dwojgiem dzieci i zamieszkałem u kuzynki, na Sadybic.

Chciałem po prostu zobaczyć jak najwięcej, poznać ten całkowicie nie znany mi kraj, ale skończyło się na tym, że zobaczyłem dużo mniej, niż chciałem; wpadłem w wir ludzi, rozmów, spraw, i Polska stała się dla mnie przede wszystkim tymi ludźmi, tymi sprawami. Ależ oczywiście, Poznań, Warszawa, Kraków, Łódź, Toruń, Gdańsk, Gdynia, kościoły, zamki, biblioteki, muzea, Wisła nad Toruniem, piękno odnowionych starówek Warszawy, Gdańska, wierzby, piaszczysta droga, łąn pszenicy, niebo plus pierzaste obłoki, „rosyjskość” warszawki z perspektywy Krakowa, „środkowoeuropejskość” krakówka z perspektywy Warszawy, pasiaki, szachownice pól, Kielce, Radom, Odrzykół, Przytyk, konie na drogach, wozy kopiaste, fury użątka, Ojców, Wilanów, Oliwa, Ciechocinek... I tak sporo tych wrażeń *quasi*-optycznych, widoków, scenek rodzajowych, kolejka na Wawel, meldowanie się, pociągi, wychodki, hejnał, „nasze” wojsko, mrowie żołnierzy, na-

chalne obrabianie polonusów na dworcach, dzikie rozjazdy taksówkami, niedzielne poranki w tłumach zakonnic, księży, ministrantów, wiernych, panowie oficerowie tłuściutcy, z teczkami, burczący na gierkowskie nieporządki, jarmark, pierzaste obłoki, kierowca przysypiszający na kocich łbach warszawskiej ulicy, ach jak rechoce, kiedy babulince na tylnym siedzeniu autobusu lecą z kosza jajka, bułki, jabłka, Cyganki pod Europejskim:

- Ja bym panu powróżyła...
- Ale nie powróży pani...
- Ja by pani powróżyła...
- Ani mi się śni.

Była atmosfera odprężenia. I nie było wiadomo, co to znaczy. Zupełne umycie rąk przez Zachód? Nowa Jałta? Pomosty? Możliwości wewnętrzne? Wyczuwałem, że i ja w moim skromnym zakresie — osoba czyżby tylko dla mnie prywatna? — traktowany jestem jak papierek lakmusowy, nawet wtedy, gdy nie było to całkiem świadome. Czynniki oficjalne wykorzystywały oczywiście atmosferę, by wreszcie dobrać się do emigracji, ułożyć stosunki, wciągnąć, obłaskawić, uhonorować, stworzyć łączność, uzyskać współpracę, szczególnie techników, naukowców, pozbyć się tej drzazgi, odskoczni, tej diaspornej niezależnej „Polski”.

— Panie Bogdanie, mówiła do mnie podniecona i zaafierowana Danuta B., podobno mają dawać polonistom złote medale za służbę kulturze polskiej, co pan na to? Było jasne, jak się o nas starają, więc odpowiedziałem, że polonistyka to nie służba, lecz zawód, a w ogóle, to nikt żadnych medali przyjmować od nich nie powinien. W końcu zdaje się z pomysłu zrezygnowano, choć może nie wobec wszystkich. Byłem, a jakże, na podniosłej ceremonii przyjmowania tytułu doktora *honoris causa*, otrzymywał jakiś Bułgar, no i mój kolega po fachu, sławista-polonista, którego promotorem był niestety bodajże Jakubowski. Więc atmosfera ciekawa, sytuacja jak posażnej panny na wydaniu, różne grupy i szczeble wypróbujące co już można i co się da, i wrażenie, że jestem obserwowany przez wiele oczu. I te możliwości, jakby się otwierające.

Był w Warszawie akurat jeden minister rządu federalnego Kanady i bardzo chciał przemawiać na Zjeździe..., czy mógłbym coś załatwić? Było to na bankiecie, i właśnie napatoczył się sekretarz Zjazdu, więc przeszedłem się z nim pod ramię przez salę bankietową, i *presto!* — pan minister za pół godziny był w programie, i to zresztą był epizod

kuriozalny, bo a jakże, poszedłem na odczyt pana ministra, włączony do sesji geografów, przewodniczący Rosjanin, na sali tłum, któż to wtedy nie wypytywał mnie, jak wyjechać do Kanady, więc tłum, a przewodniczący udziela głosu panu ministrowi jako pierwszemu, z szacunku dla władzy, prosi tylko o zamknięcie się w dwunastu minutach, bo sesja przewiduje pięć referatów.

Pan minister mówi dwanaście minut, piętnaście, dwadzieścia minut, wreszcie po dwudziestu dwu minutach przewodniczący delikatnie interweniuje, że jednak są inne referaty; pan minister zapewnia, że właśnie kończy, i mówi dalej, po paru minutach Rosjanin znów interweniuje, że mu bardzo przykro, ale pan minister ma jeszcze, ot, parę słów do dodania, właśnie o możliwościach emigracji do Kanady, więc przewodniczący znajduje dyplomatyczne wyjście i zwraca się do sali, czy pragnie aby przejść do właściwych referatów, czy też woli słuchać pana ministra, sala absolutnie woli słuchać pana ministra, przewodniczący kapituluje, sesja zostaje przeniesiona na dzień następny, incydent międzynarodowy jest zażegnany, a pan minister długo jeszcze odpowiada na pytania.

Miła atmosfera, choć tu i ówdzie groźnawo. Grzeg. mówi, ależ się koło ciebie kręcą, to na bankiecie dla slawistów, a ja nie notowałem twarzy. A zresztą przecież on i tak nie może znać ich wszystkich, a poza tym jest chyba warstwa pośrednia i w ogóle. Bardzo się mną zajmuje młoda osóbką z redakcji czasopisma „Łan pszenicy”, ładna, serdeczna, strasznie sympatyczna, zapach Mazowsza i wielkich spraw, bo to strasznie ważne, panie profesorze, żeby pan udzielił paru słów wywiadu naszemu piśmie, ach, proszę pani, wrywa mi się, są ważniejsze sprawy, i widzę zaciekawienie, ale takie prawdziwe, że aż mnie rozśmieszyło, bo sympatyczna osoba, i patrzy na mnie służbowo, ale i nie służbowo, jakby powiedział Gombrowicz. Aż trzech ubeków ścisnęło panu rękę, mówi po moim odczycie pod egidą „SECu” Grzeg, ale o tym później.

Od pierwszych dni w Warszawie zajmuje się nami mój dawny przyjaciel, no, kompan, koleżka, jeszcze z dzieciństwa, miły, troskliwy, pilotujący, ale i zaborczy. — Wiesz, Bogdan, jutro jest pokaz prywatny filmu młodego reżysera, a i poety, ma kłopoty z cenzurą. Idziemy. Jest na sali ojciec, były minister zdymisjonowany, on wiecie nas swoim volkswagenem, między innymi wzdłuż Wisły, o, tu ku czci tych, co zginęli w armii Berlinga próbując nieść powstańcom pomoc, on był jednym z nich, ale żyje, i oglądamy potem ten film niecenzuralny,

a jeszcze potem otrzymuję plik wierszy z prośbą o ocenę. A znowu przyjaciel aranżuje nam obiad u nich, są jacyś dwaj Leningradzycy czy Moskwiczanie, obiad niczego sobie, sami swoi, rozmowa między innymi o „Kulturze”. Mówię, że gdyby paryskiej „Kultury” nie było, trzeba by podobne pismo stworzyć, właśnie w interesie sprawy polskiej, i w ogóle wygłaszam pochwałę „Kultury”, jej niezależności. Czy szkodzę mojemu przyjacielowi? Kiedy chciałem się z nawału spraw wykręcić od tego obiadu, i powiedziałem mu, że już dałem znać przez kuzynkę, że niestety na obiad nie przyjdziemy, przyjaciel po raz pierwszy od naszego przyjazdu wyszedł z siebie; ty tego nie możesz zrobić, musisz być na tym obiedzie, i chwyta przy nas za słuchawkę, i odwołuje moje odwołanie, tak, pomyłka, oczywiście Czaykowscy przyjdą, no to do zobaczenia. Ach, cóż za interesująca atmosfera, człowiek się jakoś liczy, trochę tajemniczo, i nie wiadomo, groźne to czy nie.

Tak, troskliwy mój przyjaciel, dbał o mnie. Oto telefonuje ze swojego biura do wiceministra kultury: Toleczku, wiesz, jest tu Bogdan Czaykowski, mój przyjaciel, tak, tak, ten Czaykowski, bardzo chciałbym, żebyś go poznał. I już w parę dni potem idziemy do ministerstwa, do pałacu, pan wiceminister nader uprzejmy, rozmowa dosyć swobodna, tylko nas trzech, butelka winiaku na antycznym stoliku, rozmowa dwugodzinna. Przy wyjściu — proszę, proszę bardzo, tu są wydawnictwa ostatnich lat, proszę, niech pan profesor sobie wybierze. Wybieram Gałczyńskiego, a może jeszcze tę, o Słonimski, a ta? Dostaję pięć książek, których nie ma w księgarniach, powinno mnie to być ostrzec, kto ma książki, których nie ma w sprzedaży? — ale dziękuję, wychodzimy. Mój przyjaciel mówi do mnie: myślałem, że będziesz mówił odważniej, stawiał żądania, propozycje. Przystaję nieco zdumiony. Potem rozmawiamy o tym nocą z Jagą. Śpimy we czwórce, z dziećmi w jednym, werandowym pokoju, kuzynka z matką, osiemdziesięcioletnią, prawie ociemniałą, piękną osobą, śpi w drugim pokoju na jednym łóżku. Więc jak myślisz, czy rzeczywiście nie byłem dostatecznie „odważny”?, przecież mówiłem, co myślałem, i jako osoba całkowicie prywatna, oddalona o tysiące kilometrów, korzystająca z okazji, żeby to trochę poznać od wewnątrz. Dziwny ten przyjaciel, czy myślał, że ja jakiś swój interes będę ubijał, panie ministrze, wydajcie mi tomik wierszy, albo dajcie debit „Kulturze”, albo znieście cenzurę (ale frajer, co?), czy bo ja wiem, no on sam, przyjaciel, przy mnie telefonicznie z Toleczkiem interes ubijał, żeby syn się dostał na uni-

wersytet. Dziwnego masz przyjaciela, mówi Jaga, ale teraz chodź już spać.

Ale ciekawe, jak się człowiek powinien znaleźć? Na przykład, przyjęcie u przyjaciela. Jest ważna postać z TV, jest parę osób z Radia, jest wysoki rangą oficer z uroczą żoną, ach jak *słowiańską*, tak się cieszę — to ona do mnie i do mojej żony — tak się cieszę, że jesteście właśnie tacy, jak was sobie wyobrażałam. Tańczymy, a to gdzie państwo mieszkacie, w jednym pokoju? A koło nas właśnie mieszkanie stoi puste. Tłumaczę, że przecież nie możemy robić przykrości kuzynce i ciotce — staruszka, ociemniała, tak się nami cieszy, no a my nimi. Przerwa w tańcach, i pan oficer autor opowiada o swoich kłopotach z cenzurą. A gdy nas potem rewidują na granicy, przez cały czas ponad dwugodzinnej rewizji, przy stole stoi pułkownik WOP-u i patrzy. Rewidującym na ręce? Ale o tym później, nie piszę fikcji, to nie jest opowiadanie. Tak, czytałem Konwickiego, nawet go poznałem przelotnie w kawiarni Czytelnika, ale to przecież moje fikcje, ja je zmyślam z rzeczywistości, i ani Gombrowicz, ani nawet Czerniawski nic tu nie mają do powiedzenia.

Atmosfera odprężenia, elektryczna. Niektórzy baraszkują na piankowej fali. Nie mnie poeta kazał plwać, zstąpić do głębi. Aż mnie zmroziło. Idziemy z kuzynką i przed jakimś kościołem, Lutek! Bogdanie drogi! Gdzieśmy się to widzieli ostatnio? Ach, te Twoje listy, Lutku, z Tokio, odważne, gdybym je tak ogłosił, to by dopiero... Wtedy twarz blada, pospieszne pożegnanie, głupio, jakiś wstyd, tego piankowego humoru. Dobrze, że na początku pobytu tak mi ten humor cudzy zgasł trochę, przymarzył.

Ale ciekawie. Zwiedzamy dziesiątki kościołów, w Warszawie, Krakowie, Gdańsku, chorujemy na biegunkę w Warszawie, bo się uparłem, że pójdziemy do „Frykasa” czy „Marcepana”, żeby zjeść jak lud warszawski. Zwiedzamy Wawel, zamek krzyżacki, Barbakan, wały, chyba toruńskie, ale to nie ta Polska, moja, pierwsza w życiu... Bo rzeczywistość pierwsza, o ileż lat świetlnych oddalona od Wołynia, dzieciństwa. Ja, co jak Mickiewicz, ani w Warszawie, ani w Krakowie, a i więcej, bo ani w Wilnie, ani w Poznaniu, do tej pory nie byłem, największe miasto Brześć, po nim Równe, i mogę tu, w Warszawie, czytać przez radio, „Urodziłem się tam,” nie zmieniając ani słowa.

Chcieliśmy pojechać w Białostockie, kraj dzieciństwa mojej matki, ale już nie ma mowy, żeby przed Zjazdem wynająć auto, wszystkie wynajęte na tydzień, a i drogie, przyjaciel sugeruje prywatnego taksówka-

rza. Zna jednego, porządny człowiek, za dolary będzie o tyle taniej. Poznajemy naszego potencjalnego cicerone, trochę skorzystamy z jego usług, gdy koniecznie trzeba, po mieście, ale płacę mu w złotych, tylko napiwki daję po dolarze, broni się, jest jakiś zażenowany. Rezygnujemy z podróży w Białostockie. Płacenie w dolarach jest przestępstwem walutowym, nie warto ryzykować tak głupio, ale odwozi nas raniutko na stację, może trzeba było zaryzykować? Tylko czemu nie opowiada dowcipów — człowiek starszawy, wyniszczony, o zszarzałej twarzy, podobno ma kilkoro dzieci, emerytowany taksówkarz? W natłoku wrażeń nie wszystko jest jasne, nie wszystko chwyta się od razu, kuzynka mówi, że zadzwoniła do swojego przyjaciela w MSZ-cie. To na parę dni przed naszym odjazdem, wysoko postawiony, że ona by uważała, że ja mógłbym pomóc... już nie pamiętam w czym, przy odbudowie Zamku Królewskiego? Asekuracja? — telefon aż trzeszczy na podsłuchu, to oczywiste.

Z kuzynką nie całkiem się rozumiemy. Czemu się zadajesz z tymi, z tamtymi, z Żydami? Ano tak, byłem u chorego redaktora G., zawiozłem mu lekarstwo, i u tego byłego wiceministra czy ministra, i ta para żydowska z Moskwy czy Leningradu. Kuzynka jest jakby w dalszych kręgach ZBOWiDu, nie dlatego, że Sadyba, z Powstania, gorąca patriotka prawdziwa, miłość do Warszawy, i jaka miłość, jak się odbudowywała, jak rosła, wszystkie tablice pamiątkowe chce pokazać — tu Baczyński, tu rozstrzelani, tu się przedzierała jako łączniczka. Wspaniała osoba, a jednak dzieci jeżą się, a córka kiedyś przy stole nie wytrzymała, bo Ciociu tak o Żydach nie wolno, ani o Murzynach, bo... Duma ze smarkacza, i ta niepojętość jej zapiekłości, linia ZBOWiDu, że polski stalinizm robili sami Żydzi. Wymieniam jej nazwiska Polaków, ale ona swoje, Fejgin i Różański, Berman i Minc...

Spotkanie ze znanym historykiem. Żali się, że mu obcięli wyjazd do Ameryki, że nie docenia się roli ruchu Moczara dla odkłamania polskiej historii, unarodowienia jej po internacjonalizmie, itd. Podczas sesji, na której amerykański historyk wygłasza referat o strajku szkolnym w Poznańskim, i mówi o klerykalizmie, atakujemy go nagle wspólnie, i dziwię się sobie, bo ja go atakuję za nieuwzględnienie miejsca, w którym mówi, a więc za używanie terminów będących wodą na młyn oficjalnej antykościelnej propagandy. Młody historyk, zresztą polskiego pochodzenia, jest zdumiony, mówię mu, że nic nie rozumie. A jednak mam uczucie niesmaku, bo miałem prawo zaata-

kować jego tezę, tylko gdyby była rzeczywiście nieśluszną. Kompleks polski. Jak łatwo o samo-szantaż. Dawno o tym wiedziałem, nie na darmo żyło się te ileś lat wśród emigracji politycznej w Londynie. Szantaż wyższych racji, nawet jeżeli moja reakcja była słuszną, bo w ustach historyka amerykańskiego, może jednego z tak zwanych rewizjonistów, klerykalizm, reakcja, to uleganie innym szantażom, modzie Postępu, lewicowości, uczucie niesmaku jednak, jakbym wziął udział w nagonce, niespodziewanie dla samego siebie złożył donos do Królowej Korony Polskiej. Chodziłem, chodziłem po malutkim pokoju, ku zaniepokojeniu suki Betsy, która przestała sobie lizaniem kaleczyć łapy, aż do interwencji żony: dość już, bo ci to chodzenie rośnie jak nie przymierzając w *Trans-Atlantyku*. — A pewnie mu się trochę i należało, temu amerykańskiemu historykowi, co oni rozumieją. Możliwości, ale jakby groźnawo. Grupka opozycji, w mieszkaniu śp. S., wówczas jeszcze nie S. Siedzimy w krąg na podłodze. Już chyba w komplecie. Nagle stukanie do drzwi. Czuję przebiegającą iskrę, powietrze tężeje. Ach, to ty... Rozmowa powraca. Jakieś jedzenie, i mój wstyd, że nie mogę skończyć tego okrawka mięsa, które jednak nie jest całkiem świeże, i zostawiam na talerzyku, mimo wstydu. Rozmowa coraz żywsza, swobodniejsza, bronię „politycznej” funkcji poezji, odkłamującej język, szukającej innej mowy, choćby tylko osobistej. Słucham listu Matuszewskiego, w sprawie odmowy druku wierszy Jacka. Tu, w tym pokoju na podłodze (tylko J. K. siedzi na krześle), i wręcz na każdym kroku, w Krakowie, Łodzi, Toruniu, Gdańsku, poznaję cząstkę potencjału umysłowego, twórczego nieoficjalnej Polski, gdyby ten potencjał — wyzwolić! Proszę pana, ale to w innym mieście, siedmiodzinna wizyta, pełna wzruszeń, takich które człowieka stawiają na nogi, gdy wątpi, że i to wszystko warte, siły przeciwko nam i tak zbyt potężne, i wtedy takie wspomnienie, uderza, dynamizuje, więc w tym innym mieście, a bieda tam u nich, i mimo tej biedy — przyjęcie, naprędce, jak na nich królewskie, więc w tym robotniczym mieście, proszę pana, pan chce stawiać na ewolucjonizm, a przecież, gdyby oni rzeczywiście rozluźnili, gdyby ludzie zdecydowali, że przyszedł ten moment, to przecież ten reżym i pięciu minut by się nie utrzymał. A potem ktoś inny pokazuje mi maszynopis pierwszego tomu *Historii marksizmu* Leszka Kołakowskiego, i inne niecenzuralne książki, schowane tak „płytko”, że się dziwię. I żona poety, który mi daje swoje wiersze, upominająca się o wiersze swojego brata, żeby lojalnie nie skrzywdzić — ani jednego ani drugie-

go. I jeszcze później łapię się na tym, jaka to u mnie we krwi praworządność, na stacji kolejowej, napisy, palić nie wolno, on wyciąga papierosy, częstuje, odmawiam, on zapala, czuję moment obcości, jestem dla niego w tej chwili zapewne śmieszny z tym moim respektem dla prawa, przepisów.

Te drobne znaki, epifanie. Tu bohaterem, obok Miłosza, jest Ginsberg, którego widziałem na trawce u nas na wankuwerskim kampusie, a potem u znajomego, fizyka z łysą głową. Ginsberg wszedł, podszedł do gospodarza, i pocałował go w łysinę. Czy Ferlinghetti, gdy zjechał do nas z Kalifornii, żeby spotkać Woznienskiego, ale o tym kiedyś innym razem, i czytał swoje wiersze w oparach jakiejś trawy, i co drugie słowo pier... i pier... Prorocy z oddali, rewolucja obyczajowa, seksualna, a ja nie o takiej wolności. Więc kuzynka, z kim ty się zadajesz, było tu takich trzech z brodami, czy długimi włosami, oberwani, hipy, powiedziałam, że ciebie nie ma, to pocij jacyś, jeden takie nazwisko jak ptak, jaskółka, zostawili ci wiersze, i że przyjdą kiedy indziej, ja bym się z takimi nie spotykała... No i rzeczywiście jakoś ich nie poznałem osobiście, ani też jakiejś innej grupy, a grupy wtedy się mnożyły. Wa. ewidencję sporządzał, nowa awangarda, więc tej innej z przeciwnego bieguna bodajże, pomoczarowcy, co mnie też, na drugą w nocy, zapraszała, może neoromantycznej, nie poznałem.

Audycja w radio. Nagrywam wiersze, jakąś krótką wypowiedź, bodajże związaną ze Zjazdem, i co ważniejsze, o poezji polskiej na Zachodzie, przekładach na język angielski, antologii Miłosza. Z tym ostatnim pewien kłopot, mówi przyjaciel, i nawet nie to, że powiedziałem, że najwartościowszym ambasadorem kultury polskiej w Ameryce jest Miłosz, nawet nie o to, choć czy to nie pewna przesada, ale widzisz, Bogdanie, od dwudziestu lat nazwisko Miłosza tu nie „padło z anteny”. W pismach czasami można, ale nie przez radio, i to się oparło aż o KC, trzeba parę dni poczekać, mówię, że bez Miłosza nie, potem słyszę w radio, a jakże, Miłosz padł z anteny, tylko ambasadorostwo wycięli... Zawsze to jednak coś, jeżeli po raz pierwszy od dwudziestu lat!

No, a o Mironic? O Mironie. Przetłumaczyliśmy sporo jego wierszy z Andrzejem na angielski, tomik w druku, małe honorarium, ale w amerykańskich dolarach, przywiozłem, i chciałem wręczyć osobiście. Więc najpierw trudności ze znalezieniem mieszkania, bo numery poprzestawiane na kamienicach, czy coś w tym rodzaju, potem pukanie, wielokrotne, co parę dni, do drzwi, i nic, cisza, choć jakby nie

absolutna. Jest? Nie ma go? Nie otwiera? Porwali? Zwisa z balkonu? Idę oglądać balkon, nie, nie zwisa, może zaraportować na milicję, ale przecież nie pójdziesz do MO, że Miron zaginął, no sam powiedz? Ale są pieniądze, poznać też chciałbym, choć żeby jakoś te pieniądze oddać. W końcu przyjaciel radzi, idź, mówi, do Agencji Autorskiej, i tam zostaw mu. Idę. Agencja Autorska, mit pochłaniający, zwoje jelit biurokracji. Gotówki zostawić nie mogę, czeku też nie, ale chyba mogę wpłacić na takie i takie konto w banku, a tu napisać list, uprawniający, zresztą w banku nie chcieli przyjąć ani gotówki, ani czeku, spytałem, czy może przyjmą w naturze, dalsze konsultacje w jelitach, i coś zdaje się wymyśliło się w końcu, a tu przyjaciel mówi, idź, Miron jest, czeka, trochę mu przyłożyłem, że brak kurtuazji wobec zagranicy. I dzień potem idę, ktoś się porusza, otwiera drzwi, mężczyzna blondyn, że on w takim razie, to do Mirona, już pójdzie, a ja zostaję wpuszczony do mieszkania, niechętnie, przez zez tego wychodzącego. Miron na łóżku, leży, i rozmawiam z nim, jak ślepy z głuchym przez dwie godziny, podczas gdy się ściemnia, jakąś muzykę nastawił, i tak przez półmrok coś mówimy do siebie, jak przez grubą szybę, upszczoną przez wróble, gołębie, muchy i złocone aniołki w rogu sufitu. I dopiero potem, po miesiącach, a może latach, w Vancouver, list od Mirona, i książki dedykowane, jak wydzielone zlepy i ciągi: Jeszcze jedno wiersze, częściowo stare, a częściowo nowe, już na nowym mieszkaniu, które może pan kiedy obejrzy... A to wiersze stare zebrano-wybrane, w 1974 roku dostałem zawału i napisałem w szpitalu i w sanatorium dalszą historię siebie i otoczenia i to wyjdzie jako *Zawał* chyba w 1977 r. I... ten „zawał”, który miałem ale który spisałem z pozdrowieniami i nadzieją, że może kiedy się zobaczymy 19 lutego w mróz i śnieg.

No tak, telefon na podsłuchu, kuzynka zdenerwowana, a jutro mam mieć swój referat, przeniesiony na najwcześniejszą sesję, i to nie w pionie tematyki sesji, moja wina, bo muszę wyjechać wcześniej, był kłopot z przeniesieniem mnie, a teraz siedzę całą noc i piszę dziesięciominutową wersję. Idę spać o szóstej rano, wstaję o siódmej trzydzięci i gonię, jestem na sesji na ósmą, mam się tam spotkać z młodym Dz., który obiecał, że mi zdobędzie *nie skończoną krucjatę* Wojaczka, której nigdzie w księgarniach już nie ma. Więc wygłaszam swój referat, jak w malignie, do grupki kilkunastu osób zainteresowanych wzajemnymi związkami słowiańskich romantyzmów, jedna słuchaczka po referacie prosi mnie o tekst, mówię o Mickiewiczu,

Norwidzie, Gombrowiczu, oryginalności, nie tak jak w wydrukowanej wersji, potem młody Dz. (miał mi pożyczyć swoją pracę magisterską o Gombrowiczu!) mówi, że to było takie ciekawe, i wręcza mi w „kondycji menniczej” egzemplarz *krucjaty*... Powiniennem się był domyśleć, a ja przyjąłem za dobrą monetę, i potem nawet na jego list odpisałem, z Londynu, w którym prosił o przysłanie tłumaczeń niecenzurowanych wierszy do *Index of Censorship*, a nieco potem Krystyna S. opowiada, że był w Londynie, i w Wolnej Europie, i bałamuciał, a później list na biurku zostawił, spowiedź, że on agenciak, podobno kolegom buty chciał wycierać, że ich zdradzał, klękał *izwini, szto ja mierzawiec*... Ależ się kolo ciebie kręcą, mówi Grzeg.

Dwa wydarzenia, najprawdziwsze. Z przyjacielem. Bodajże w restauracji Spatifu, przyjaciel, krytyk pewien, ja, setki na stole, i jakoś na mnie wrażenia nie robi ta wódka, a ja mało zwyczajny, krytyk chępliwie, że hoho główka mocna, jego oczywiście, i wreszcie jemy, smacznie, i sprawa Orłosa, która akurat wybuchła, i go zwolniono z Radia. Krytyk z niekłamanym oburzeniem: bo proszę pana, my tu o kulturę polską walczymy, a taki jakiś gówniarz utrudnia, z Wolną Europą, z „Kulturą” się zadaje, to nam szkodzi, to szkodzi czystej robocie, głowy nadstawiamy, a głowa krytyka coraz słabsza, i łatwo mi bronić Orłosa. Wychodzimy, przyjaciel mówi, wiesz, Bogdan, ja bym chciał żebyś poznał Staszka (ciemne wiersze) Grochowiaka. Chodźcie, weźmiemy taksówkę. Idziemy, pod Europejski, krytyk w pięknym, nieposzlakowanym garniturze, jak z igły, koloru beżowego lnu, jak z pianki, z parasolką zwiniętą. Przyjaciel wchodzi w tłum taksówek, i triumfalnie zajężdża, wsiadamy, ruszamy. Wiesz, Bogdan, czy ja się nie mylę, ale czy ty nie należałeś do Chadeccji? A tak, należałem do młodych chadeków, jeszcze w Londynie, i wtem słyszę, krytyk kaszle, ale tak jakoś sztucznie, szturcha mnie, nie nie rozumiem, przyjaciel dalej wypytuje, ja odpowiadam, a tak, znam Wandę, Staszka, ale wystąpiłem, jeszcze w 1955, może na początku 56. Przyjaciel mówi do taksówkarza, a jesteśmy koło jakiegoś parczku, tu nas pan wysadzi, przejdziemy się troszeczkę. Wysiadamy. Krytyk jakoś niepewnie otwiera parasol, choć słońce świeci, upał, duszno, i przed sobą rozpięty tak jakoś niesie, a cóż to ty Misiu, posiusiałeś się? — mówi przyjaciel do krytyka. Nie, gdzie tam, mówi krytyk, nie widziałeś, jakżeśmy z restauracji wychodzili, to wyszła kobieta z cebrzykiem pełnym wody, prosto na mnie, i mnie ochlapała. Ej — mówi przyjaciel, posiusiałeś się Misiu, mamy jeszcze trochę czasu, siądźmy sobie na

ławeczce, krytyk zwija parasol, siedzi przodem do słońca, len schnie, paruje. A coś ty się tak tarmosił w taksówce — pyta przyjaciel. Jak to, nie widziałeś — mówi krytyk. Co miałem widzieć?, no radio, radio, to był magnetofon, widziałem jak oscylowało pasemko światła, całą rozmowę o chadecji nagrał. Ec bzdury pleciesz, mówi przyjaciel, a mnie się przypomina sprawa Eustachiewicza, i tak dalej. Idziemy do Grochowiaka, którego akurat nie ma, jego syn bodajże nas informuje, ale zaraz będzie. Wiesz, mówi przyjaciel, Staszek przestał pić, no i zjawia się Grochowiak, trup człowieka. Mówimy o poczji, i „Poczji”, i dlaczego ja u Drozdowskiego nie mam chęci, dla nas jest alkohol, ale Grochowiak do ust nie bierze, dobrze zapamiętałem tego trupa poczy...

A druga historia, też dziwna. Parę dni przed wyjazdem przyjaciela z Warszawy do L., ach, trochę rzeczywistości niedomówieniowej muszę do tych autentyków dodać. Więc przyjaciel mówi do mnie, autentycznie, wiesz, chciałbym ci przed wyjazdem zrobić prezent, ale najpierw chodźmy na piwo do Europejskiego, gdzie już parokrotnie z nim byłem, muszę ci powiedzieć, mówi przyjaciel, ale czy to ten sam przyjaciel? choć tak samo przyjazny, no co tu obwijać w bawełnę, ma się zawsze więcej niż jednego przyjaciela, więc muszę ci Bogdanie powiedzieć, że w barze w Europejskim jest podstęp. No, czemuś mi tego wcześniej nie powiedział, ach wiesz, tak mi jakoś z głowy wyleciało, chodźmy na piwo. Idziemy, wchodzimy, siadamy. Wiesz co, Bogdan, bardzo chciałbym żebyś poznał pannę Krysię, tam przy barze, chodź ze mną, zamówimy, a ja cię przedstawię, panno Krysiu, to jest Bogdan Czaykowski, coś mówię że mi miło, wiesz Bogdan, napisz się pejsachówki. Ja dziękuję za piwo, mówię, nic od rana nie jadłem, a wiem, że pejsachówka to mocna wódka, ale co tam, panno Krysiu, prosimy dwie pejsachówki, i dwa piwka, siadamy, pijemy, gardło pali, ale głowa mocna, nie rozumiem, bo za mocnej nigdy nie miałem, nawet w Dublinie, gdzie się czasem i popiło. Chciałem cię zapytać, Bogdanie, czy to prawda, mówi przyjaciel, że w gazetach angielskich niedawno pisano, że Lord B. jest agentem radzieckim... Wiesz, Kosteczku, nie nie słyszałem, i dyskutujemy sprawy pokoju, odprężenia, polityki zagranicznej i podróży mojego przyjaciela. Zdążyliśmy jeszcze do sklepu, gdzie przyjaciel kupił mi butelkę pejsachówki, w prezencie. A nieco przedtem, przy urynałach, takie jakieś badawcze miał spojrzenie, że się raz jeszcze zdziwiłem.

Upał Warszawy, ujadanie psów cichego Krakowa. Nagle z bocznej

uliczki wyjeżdża na trzykółce no nie lajkonik ale w fartuchu białym, w biało-czerwonej czapce kucharskiej krakus, my tych ruskich jeszcze spierzem, i fajt, w boczną uliczkę. Ten młodzieniec w Warszawie to jednak szedł majestatycznie, w podkoszulce, na przodzie, nie lubię ruskich, z tyłu miał, pierogów. Poszliśmy, jak mówiłem, do restauracji trzeciej kategorii, i potem biegunka, gorączka. I w gorącu, czy gorącu-gorączce, chodzenie po ulicach z B. i z Z. i z M. Kawiarnie, restauracja chińska! Bazyliuszki i Wierzynki, bary mleczne, marcepany, uczta w Wilanowie na koszt przyjaciela, ale mu gotowy zabrakło, uczta na koszt pani ministrowej ottawskiej z orkiestrą w stalinowcu kultury. Intelktualiści. Siedzi Karaś *tête-a-tête* z lingwistką kanadyjską z Ukrainy; tatarski potomek z nazwiska historię KPZR-u zgłębia, ale nie do druku; poeta smutku i rozpaczycy chciałby do Kanady. Tam takie przestrzenie, mówi, pewnie można iść i iść, bez zatrzymania. Najwspanialszy kalafior w moim życiu w Związku Literatów, jem jak na przyjęciu u hrabiny Kotłubaj. Znany krytyk zaprasza do Instytutu, dziękuję, nie skorzystam, pan podobno cenzorów edukuje jak język ezopowy w poezji rozszyfrowywać, a to przecież ja pana wiersze zamieściłem, mówi, a pan takiś!

U norwidologa, dumnego z Cypriana po rosyjsku, ten ich teraz na aniołów przerobi. Wybitny myśli Historyk, jak spod igły, uroczy pan w ostrożności swojej, pijemy kawę w PAN ale nijak go napocząć. Nie mam w sobie tej elegancji, wykwintu. Archeolog, podobno kuzyn, całe czterdzieści dni zapraszał, ale mu nie wyszło. Ryzykować wykopaliska w białostockim poszerzające polski stan posiadania dla jakiegoś kanadyjskiego bezkrawatowca, jeszcze by mu kołnierzyk zesztynił, niebezpieczniak jakiś, no nie, kuzynko? Ano. Intelktualiści, inteligencja. Jak to pisał Szczepański, socjolog wiodący, na progu ery gomulłowskiej? Takie proszę państwa funkcje inteligencji jak tworzenie wartości kulturalnych, kształtowanie poglądów i opinii, krytyka ideologii, formułowanie kryteriów osądu, techniczne wykonywanie władzy, i inne podobne funkcje, zostały przecięte przez Partię. W trybie dokonany.

Kontrasty. Więc ci wywłaszczeni, państwowo-płatni, pańszczyźniani, oddający cesarzowi co jego, i ci odchyleni, lub hipy-cygańscy, ci z cenzorem pod paznokciem litery wystukującego palca, i ci z lumpenproletariatem się zadający, knajaccy, partyjni, bezpartyjni, katolicycy. A proletariat? To wiec pan, jak nie można do zakładów pracy, to ja sobie autobusem z pracy i do pracy jeździłem, zawsze się trochę czło-

wiek o robotników otarł, porozmawiał. To optymistycznie. A jest i gorycz: „W każdą sobotę upija się bardziej niż zwykle i chodzi na kurwy. Wraca z nadejściem porannych mgieł i bije żonę. Niech chociaż ona wie, że jest dyktatura proletariatu.” A najczęściej zupełna mgła.

- Pani da zapalki!
- Ja szerzę kulturę picia (to w knajpie).
- Len zdrożał, wełny staniały.
- Szczeniak coli – 1,500 do 2,500 złotych, karłowate pudelki – do 5,000 zł.
- Skoda – 120,000, Fiat polski – 170,000, telewizor – 7,000, fotele – po 1,000 złotych, schab – 74 za kg, wołowina – 48-50, cukier – 10,15, mąka – 6,70, kartoflana mąka – 9,50, jajko – 2,40, mleko – litr – 5,50, ser biały chudy – 12 zł., ser biały tłusty – 24, kawa prawdziwa – 270-400 zł. za kilogram, cytryny za kilogram – 30 zł., kartofle – 2,50 za kilogram, ciastka – 2 zł. Futro, norki – 102,000.
- Niech żyje klasa robotnicza! (Radom?)
- Dżentelmeni jezdni.
- Pracując dla kraju pracujemy dla siebie. Nie dotykamy owoców. Chodzimy prawą stroną (a może lewą?). Jędrzejów uczestnikiem konkursu mistrzów gospodarności. Patriotyzm naszego czasu to ofiar-na twórcza praca dla Polski. Działacze ZMS! pobudzajcie inicjatywę młodzieży w zdobywaniu kwalifikacji zawodowych. Lepszą przyszłość Polski wykuwamy na każdym stanowisku pracy. Niech żyje pokój i przyjaźń między narodami. (Wszyscy się pouczają. Władza – naród, sprzedawczyni – kupujących, paniusia – paniusie, taksówkarz – klientów, oni – taksówkarza, tyście dzieci szkolnych zwiedzających pod kuratelą muzea, Wawele, ciurkiem, ciurkiem.)
- Moskal niedołęga chciał nam porwać Kraków.
- Chlewmistrze.
- Zewnętrzna: powstała w 1819 r. przy komisji S.W. i Policji; wewnętrzna: w czasie nieokreślonym; zewnętrzna w komedii Korzeniowskiego pt. *Stary mąż* słowo 'żółto brzusek' zastąpić słowem 'ptaszek' ('żółto brzuskami' nazywano w latach 1815-1831 żołnierzy polskiej piechoty liniowej). W *Śnie nocy letniej* Szekspira skreślić wyrażenie Demetriusza, że 'ściany mają uszy'. Zabronić wystawiania *Syna Judy* wg powieści *Eli Makower* Elizy Orzeszkowej, ponieważ kwestię stosunków polsko-żydowskich rozstrzyga w duchu większej solidarności Żydów i Polaków, co jest szkodliwe dla interesów rosyjskich

w naszym kraju; wewnętrzna: nie nadużywać nadrealistycznego wyrażenia 'ściany mają uszy', bo nie dotyczy nowego budownictwa w którym uszy nie mają ścian.

— ...Stalin is very greedy and almost threatens a new Partition of Poland, but Poland would still be Poland if it were included in the USSR... (z listu G.B. Shawa z czerwca 1939 r. do Fl. Sobieniowskiego, Esq., Teatr Polski, Warszawa; odczytane w gablotce podczas wystawy.)

— Dla ruskich muszle siusialne umieszczone są w Polsce za wysoko.

— Na plaży naród polski wygląda jak człowiek.

— Ach, jaka szkoda, że te sale zamknięte (to w Zachęcie?), czemu one właśnie teraz zamknięte?

— A pani myśli, że co? Cała Polska na wywczasach, a my tu tyramy, sterczymy, też się nam coś należy.

— Bo widzi pani, my jesteśmy z Kanady, to nie wiadomo, kiedy się znowu zdarzy taka okazja.

— Państwo z Kanady? I dzieci takie ładne, mówią po polsku! Zaraz salę otworzymy. Wszystko państwu pokażę. Osobiście. Panie dyrektorze, państwo z Kanady!

— A to czego państwo w kolejce stoicie (to już pod Wawelem) jak z Kanady?

— Bez kolejki, bez kolejki!

Idziemy z N. ulicami Warszawy, mija nas śliczna dziewczyna. Popatrz, jaka ładna dupa, mówi, rzeczywiście śliczna, twarz widziałeś? — pytam. Ze Słonimskim w Antycznej. Zajeżdża coś jak radiowóz, parkuje naprzeciw nas, a pijemy kawę na świeżym powietrzu, no, mówi, teraz to warto rozmawiać, już nas nagrywają. I żali się na Wolną Europę, bo przecież rozumiem że jak Wolna Europa nie zwróci ludziom uwagi, to ilu się zorientuje, że ot, dajmy na to w takim tomie *138 wierszy* jest dynamit polityczny. Otrzymuję ten tom z dedykacją „na pamiątkę spotkania warszawskiego niepoprawny Skamandryta.”

Słonimski pisał i mówił tak, jakby mu bezradność poetów nigdy nie zajrzała w oczy, ale już o tym myśleli Barańczak i Krynicki, Bierezin i Sułkowski, Jaskuła i Karasek, Wojaczek i Sobkowiak, Szaruga i Kornhauser, Zagajewski i oczywiście Herbert, który podczas wiosny kłódzkiej powiedział, że jeszcze nie zdarzyło się, żeby dzieło sztuki wpłynęło na bieg historii. Nie wszystkich poetów Herbert przekonał. Wtedy czy później.

Kontrasty. Krąg na podłodze w saloniku pani S., i krąg redakcji. Nie-

ważne jakiej. Rozmowa. W pewnym momencie mówię, nie, przeciwnie, ja specjalnie prosiłem redaktora, żeby mój przekład Achmatowej ukazał się w „Kulturze” właśnie podczas mojego pobytu w Polsce (a już wiedziałem, że się ukazał, zaprowadziła mnie kuzynka do pewnej biblioteki, a tam pani bibliotekarka, zaraz panu przyniosę, ostatni numer, tam jest coś pańskiego...). I na to któryś z redaktorów, nieważne który, otwiera szeroko okno, na huczącą ulicę, a inny mówi, takie rzeczy to się tylko mówi w gronie przyjaciół. Przecież jestem wśród przyjaciół... I pewnie byłem.

A z A. tośmy z siedem godzin w tej gorąco-lepkiej Warszawie po ulicach krążyli, na pusty żołądek, tylko na kawę wstąpiwszy, na ławeczkach z dala od ludzi przesiadywali, a on mnie badał, na wszystkie strony, to o Tatarników, to o dwie jedne literatury, to o przyszłości, a sam już jakby czystszy na twarzy, i to i tamto, nie rozumiem, mówię, że w waszym Bloku nie ma ruchu pokoju, to taka niedobra asymetria, że jest tylko oficjalna walka o pokój, a te lata siedemdziesiąte, mówię, to się rysują pod pewnymi względami równolegle do końcowych lat zeszłego wieku, kiedy powstawał niezależny ruch robotniczy i socjaldemokracja. Ale A. interesowało wielce, czy ja z jakąś misją od „Kultury” przyjechałem, choć i wiele innych rzeczy. Byłem u niego w mieszkaniu, co za rygle, z podziwu wyjść nie mogłem, jakie klody. Nie tak jak w domku modrzewiowym, który był na sprzedaż, za remonty.

Albo mój odczyt pod egidą Towarzystwa Kultury Europejskiej, ogłoszony, a jakże, w „Życiu Warszawy”, o poezji polskiej w krajach anglosaskich (Chwałewik poprawił po odczycie: na obszarach języka angielskiego), było ponad dwieście osób, ale i ci i tamci nie przyszli, z ostrożności, no i burza była, ulewa. Szemioth własnym piórkiem skreślony szkic moknących koni i woźnicy kuzynce przysłał, z adnotacją „one żeby moknąć nie muszą się umawiać do Związku Literatów.” Ale było sporo młodych, i kilkunastu pisarzy, paru o znanych nazwiskach, i profesorów, i a jakże, pan wiceminister, i ubecy, z których trzech według Grzeg. uściśnięło mi rękę, a było tych ściskających kilkunastu, ludzi różnych, w tym na swój sposób odważnych, choćby i cichych, jak Piotr. Nie, nie był to oczywiście żaden manifest wolności, ale była w nim mowa o cenzurze peerelowskiej, o „Kulturze”, o Miłoszu, i wiersz Wierzyńskiego o Broniewskim, ten gdzie jest to pytanie: Polska — ale jaka? No i sam fakt, że współpracownik „Kultury” na forum publicznym w sercu Warszawy o tej współpracy mówi,

i włos mu z głowy nie spada. Więc jakieś sprawdzanie, gdy już przykręcano śrubę po krótkiej odwilży, i tworzenie drobnych faktów dokonanych; te słowa wyraźnie padały, gdzie paść rzekomo nie mogły. B. O. przedstawiał mnie, a tak cichutko, coś sobie a muzom mazowieckim w brodę mówiący, ten drżący lirnik warszawski, jak odegranie mitu osiki, czy on tak zawsze przedstawiał niedosłyszalnie, czy wiedział kto jest na sali, czy tak na wszelki wypadek, za to młodzi mieli satysfakcję, i potem, trochę w kawiarni z organizatorami, gdzie wdowa po Piętaku, ale my z żoną furt do młodych przyjaciół (a trzeba dodać, że organizatorzy chcieli rzecz drukować, „z pewnymi skrótami”, ze względu na długość, oczywiście) i to był bodaj najpiękniejszy moment, u Janków w domu, możliwości jednak się otwierające, ci młodzi ludzie, odważni, z próbami koncepcji, szliśmy późną nocą ulicami Warszawy, pustymi, gdzieniegdzie milicjant, pijak, nie pamiętam jakos czy był wtedy z nami Dz., ale i tak coraz to z kimś innym rozmawiało się w pojedynkę, swobodnie.

Garstkę ludzi pokochałem, tęskniąc gniewnie do ojczyzny.

I jeszcze ich bankiet, całej? ówczesnej opozycji, na którym byłem już śmiertelnie znudzony.

Spostrzeżenia, po powrocie zapisane:

1. że system wrósł w społeczeństwo, zapuścił jakieś korzenie, ma swoich lojalistów, głównie z awansu społecznego, lub sprzed wojny, sporo klientów, to nie tylko strach trzyma w ryzach. W końcu ci, co bili pałkami w 1968 i ci, co strzelali do robotników w 1970, znajdują sobie dziewczyny, żony, prowadzą życie towarzyskie...
2. że równocześnie rośnie pokolenie po-pokłeskowców...
3. że obniżyła się nieco poprzeczka strachu, również tego „w żyłach”...
4. że moralność obyczajowa jest chyba niezbyt wysoka...
5. że „fasadowcy”, pośrednicy władzy, jej „ramiona szeroko otwarte”, specjalny rodzaj funkcji, zachodników, łącznościowców z Polonią, transmisyjniaków, starają się robić wrażenie, że kierownictwo i wyższy aparat, onaż władza, nie lubi zbyt braci–protektorów, i chętnie by się bardziej uniezależniła, lecz droga do większej niezależności wiedzie przez rozwój gospodarczy, nastawiony bardziej na Zachód, stąd budowa portu zachodniego urasta do symbolu dążeń wręcz niepodległościowych, czyli Gierek to gospodarczy Dmowski/Piłsudski.
6. że impulsy dorobkiewiczowsko-konsumpcyjne są bardzo silne, mają swój dynamizm, optymizm, że sporo rozpychania się, urywania

gdzie tylko można, łapania koniunktury, chociaż nie wszyscy widzą najbliższą przyszłość gospodarczą różowo, niektórzy uważają, że polityka zaspokajania aspiracji konsumpcyjnych jest niebezpieczna, i że przyjdzie za to rozbijanie nadziei płacić. Polityka Gomułki była, ich zdaniem, realniejsza, uczciwsza, chociaż nie do utrzymania. Jest oczywiście w interesie władz, żeby za wszelkie niepowodzenia, takie jak problemy z zaopatrzeniem, składać winę na kogoś innego; winni są więc spekulanci, macherzy (stąd skandale i procesy), biurokracja, no i Rosja. Słyszy się na przykład powtarzane w różnych środowiskach opowieści o tym, jak to zboże zakupione przez Polskę w Kanadzie jest wysyłane do Związku Sowieckiego, skąd wraca jako zboże rosyjskie dla Polski.

7. że społeczeństwo jest podzielone na niezliczoną ilość „grup wzajemnych usług”, rodzaju mafijek, rywalizujących ze sobą na polu konsumpcyjnym i zawodowym. Rodzaj więzi jest tu bardzo różny, od familijnych po ziomkowskie czy zawodowe.

Moralność społeczna jest bardzo niska, czy może szczególnego rodzaju, skoro system władzy, administracji, prawa i przepisów jest narzucony i nie zasługuje na respektowanie, jest skrępowany nadzorem i wytycznymi z zewnątrz, nie jest odpowiedzialny przed społeczeństwem czy opinią publiczną, sam jest skorumpowany, i odznacza się tendencją do komplikowania, brakiem konsekwencji, nieżywciością i dowolnością, a przy tym wszystkim jest ciągle represyjny.

Respektowanie prawa i stosowanie raczej prostych moralnych zasad, takich jak zwykła uczciwość, prowadziłyby do klęski aspiracji bytowych i życiowych, do wyrzeczeń, wręcz do izolacji w społeczeństwie, byłoby więc frajerstwem i dziwactwem.

Obchodzenie przepisów, niestosowanie się do narzuconych reguł gry, opozycja bierna, unikowa, czy po prostu szukanie luk i obejść, jest o tyle nawet moralne, że pozwala osiągać wbrew systemowi i obcej kurateli cele narodowe, społeczne, ideowe czy osobiste, do których w innym systemie miałyby się prawo, lub które uważa się za patriotyczne, lub inaczej jakoś wartościowe, na przykład religijnie, ale których inną drogą osiągnąć się nie da. Paradoxy tej schizofrenii: kłam w imię prawdy, kradnij w imię sprawiedliwości, łam prawo w imię praworządności, oszukuj w imię wiary, łam zasady moralne w imię interesów narodowych, bo w końcu im Polak więcej schabu dla siebie zdobędzie, tym lepiej Polakowi, no nie? A przy tym dalszy ciekawy aspekt schizofrenii, bo przecież to obchodzenie prawa, łamanie go, te

wszelkie moralnie „czyste” machlojki, stanowią jakiś rodzaj narażania się, ale tu strach jest mniejszy niż w wypadku na przykład wystąpienia z publiczną krytyką, organizowania się, itd. Więc odwaga nieuczciwości, by tak rzec, idzie w parze z brakiem odwagi cywilnej.

8. że więc to społeczeństwo schizofreniczne, ten katolicki naród schizofreniczny rządzi się w jakimś stopniu własnymi prawami. Oczywiście, grupy wzajemnych usług nie są wolne od kryzysów zaufania i wpadek, szczególnie że istnieją w systemie, który wymaga dużej rywalizacji w zaspokajaniu podstawowych nawet potrzeb, w atmosferze sporej zresztą zawiści, interesownej i bezinteresownej. Stąd wewnętrzna solidarność grup wzajemnych usług nieraz pęka, w formie donosów, podkładania nogi, kopania dołków itd. Solidarności międzygrupowej, czy w ogóle szerszej, w zasadzie nie widać.

9. że jeżeli polityka gospodarcza, konsumpcyjna, przekupywania społeczeństwa przez władzę, „patriotycznego ekonomizmu” załamię się, można się spodziewać dalszych i to poważnych zaburzeń robotniczych.

10. że sprawa zagrożenia ekologicznego dojrzewa w Polsce do wybuchu.

I na koniec historia wyjazdowa, też na swój sposób ciekawa.

Nasz cicerone zajechał po nas raniutko swoją prywatną taksówką, i na stację odstawił. Jazdy pociągiem jakoś nie pamiętam, przyjechaliśmy do Poznania i od razu do autobusu wsiedliśmy, stewardessa ucieszona, bo i do Polski z nią jechaliśmy, autobus rusza, jedziemy, a tu nagle ona potyka się, czy mdleje, pada, przychodzi do siebie, do mnie podbiega, nachyla się, szepcze, a Jezus Maria, to ja nie skojarzyłam, w nocy piłam w Poznaniu z jakimiś panami, i jeden mówi, a to pani kłopot mieć będziesz na granicy, jaki kłopot, Czaykowskiego aresztują. Panie Bogdanie, na Boga, czy pan coś wiecie, jakieś maszynopisy, no nie wiem, niech pan mnie odda. Nic nie wiozę, mówię, choć mam plik niecenzuralnych i nie drukowanych wierszy, nie, nic takiego, ona odchodzi, a ja żonie na ucho powtarzam, dzieci siedzą przed nami, patrzymy z żoną na siebie, trochę rozmawiamy. I tak jedziemy na tę granicę z tą wiadomością, pola, slogany, szaro, za autobusem jedzie jakieś auto, nie wymija, jedziemy.

Granica. Stewardessa ogłasza, że jeśli ktoś chciałby jeszcze wrócić do Poznania czy Warszawy, to można. Zabicrajają paszporty. Mundurowy udziela informacji czego nie wolno wywozić, antyków itd. złote trzeba zostawić, potem chwila wyczekiwania, i autobus cofają. Wysiadać, do

odprawy celnej. Wsiadamy, jest nas czworo, więc bagaży nieco więcej niż u innych, zanim wszystkie z luku wydobyli, znaleźliśmy się na końcu kolejki do oclenia. Celnicy, jest ich pięciu, zaczynają przeszukiwać bagaże od czoła kolejki, trwa to jakieś dwadzieścia minut. Gdy podchodzi do nich jakiś cywil, krótka rozmowa, celnicy zaprzestają przeszukiwania, jeden z nich woła: czy jest tu profesor Czaykowski, jestem, mówię, wszystkim pozwalają zabrać bagaże i odejść, nasze idą na długi stół, zostaje dwóch celników, obok cywil, zjawia się pułkownik, chyba WOP-u, i celnicy zaczynają sprawdzać. Wyciągają z walizek, przeglądają teczuski, których mam mnóstwo, notatniki, odkładają na bok dramat przyjaciela, ale to nie o to im chodzi, każą żonie wysypać wszystko z torebki na stół, jeden pakuje łapę do torebki, i wyciąga trochę zde gustowany, palce ma lepkie od czegoś brązowego, to tylko czekolada — śmieje się z satysfakcją żoną. W torebce znajdują jakiś rysunek-bazgrołę, co to? — pyta celnik, jakby odkrył plan sowieckiej bazy wojskowej. A to Piotruś narysował — mówi córka, on nie umie rysować. Biorą mnie do autobusu, sprawdzają gdzie siedziałem, przeszukują kieszenie płaszcza, ale nie zaglądnę do popielniczki, gdzie jest popiół najbardziej ostrego wiersza Witka. W końcu uo rewizji przyłącza się cywil, kartkuje moje notatki z British Museum, zresztą nie tak znowu nie *à propos*, skoro dotyczą zaboru rosyjskiego z okresu Romantyzmu. Cywil znajduje jakiś list po angielsku, każe sobie tłumaczyć, znajduje przekłady wierszy Brodskiego (Korżawina i mowę noblowską Sołżenicyna, którą mi podarował przed wyjazdem przyjaciel! wysłałem pocztą), jakieś wiersze już drukowane, choć z przywróceniami cięć cenzury, ale zabawne, w mojej masie papierysk i teczek, jakoś im uchodzi uwagi to co najciekawsze, nie drukowane wiersze Jacka i Witolda. Konfiskują mały pakiecik, po dwóch godzinach mozolenia się, wzrastającej wrogości naszych dzieci, ostrych uwag mojej żony, której tylko ciągle salutują, bo znaleźli klepsydry zgonu Mariana J., napisane, że Generał, i dopytali się, że to jej stryjek. W końcu prowadzą mnie do biura do spisania protokołu konfiskaty, pułkownik odchodzi, po drodze jakaś wymiana zdań cywila z innym cywilem, nie dosłyszałem, ale zdawało mi się, że po rosyjsku, ja się upominam o zwrot zabranych papierów, w końcu przecież nawet przez radio mówiłem, że zbieram materiały do antologii poczji polskiej po angielsku, ale to nie skutkuje, protokół wreszcie spisany, wracamy do współpodróżnych, i za chwilę wsiadamy do autobusu. Przez całe Niemcy wschodnie, brr, nieprzyjemna ta część

podróży, w autobusie panuje grobowe milczenie, tylko czasami prze-rywane szeptem, dopiero jak już żeśmy przekroczyli granicę Zachod-nich Niemiec, jak się do nas wszyscy nie rzuca, no, na bohaterów wyszliśmy.

Na statku stewardessa mówi, że ten cywil był z Warszawy, jechał za autobusem cały czas z Poznania, że ona pułkownika sprowadziła, że-by im patrzył na ręce, bo oni podrzucić coś kompromitującego też potrafią, a w ogóle to ona im powiedziała, że autobus bez Czaykows-kich nie odjedzie. W Londynie spotykam mego przyjaciela, podobno miałeś jakieś kłopoty na granicy — mówi. Ja mówię — słuchaj, mój drogi, jeżeli z tego będą jakieś nieprzyjemności dla autorów skon-fiskowanych wierszy, a był wśród nich Woroszyński, Stabro i Ks. Heintsch, to ja zrobię taką awanturę..., a w ogóle to się domagam zwrotu skonfiskowanych materiałów, zresztą i tak sporo przewioz-łem. Przyjaciel z mniejszym jakby entuzjazmem, a potem się dowia-duję, że opowiadał, jak to mnie w Polsce fetowano.

I zaraz po powrocie do Vancouver, zaproszenie na biurku od rektora, nowy polski ambasador w Ottawie odwiedza uniwersytet, cocktail party w Faculty Club. Poszedłem. Wchodzę na salę. Już pełna, witam się z kolegami, i nagle słyszę szept za sobą: panie ambasadorze, jest Czaykowski!

I jeszcze list od matki z Londynu, z wycinkiem z „Dziennika Polskie-go”:

„Bogdan Czaykowski w Polsce”

W Polsce bawił niedawno literat polski, zamieszkały stałe w Kanadzie, Bogdan Czaykowski. Był on gorąco i serdecznie przyjmowany i fetowany przez władze komunistyczne. Wygłosił odczyt pt. *Poezja polska w krajach anglosaskich*. Jest rzeczą charakterystyczną, że wszędzie występował jako 'Kanadyjczyk'. Tak go nazywała prasa krajowa. Czaykowski zachwycał się ustrojem pol-skim, nastrojami w kraju i zapowiedział swój przyjazd do Polski na czas dłuższy.

Kilka tygodni potem, w tymże „Dzienniku Polskim”:

„Bogdan Czaykowski w Polsce — sprostowanie”

Dowiadujemy się, że wiadomość podana w „Środzie Literackiej” z dnia 12 września, jakoby Bogdan Czaykowski, mimo że wygłosił odczyt w Polsce, był tam fetowany przez władze komu-nistyczne oraz jakoby zachwycał się ustrojem Polski i nastrojami w kraju, była oparta na nie-prawdziwych informacjach. Informacje te były się niecisłe.

Takie więc było to moje prywatne włączenie się do rzeczywistości krajowej na dni Czterdzieści i Cztery. Ale swojego rodzaju medalu

jednak nie uniknąłem. Na początku grudnia otrzymałem od znanego znawcy spraw krajowych list, treści następującej:

Miałem okazję przeprowadzenia w dniu wczorajszym rozmowy z młodym studentem z Kraju, który był obecny na Pańskim odczycie w Warszawie o przekładach literatury polskiej na obce języki. Mój rozmówca wyrażał się z entuzjazmem nie tylko o treści wykładu, ale także o dużej odwadze, z jaką mówił Pan o cenzurze w Polsce. Audytorium podobno czerpało dużą satysfakcję z faktu, że wśród słuchaczy znajdował się ...wiceminister kultury i sztuki. Zdaniem mojego rozmówcy, pozytywna ocena pańskiego odczytu stanowiła powszechną reakcję obecnych na sali z wyjątkiem oczywiście oficjalnych rzeczników partii i rządu.

Wysyłam ten list poleconym, bo nie jestem pewny, czy Pański adres w mojej kartotece jest wciąż aktualny.

A po mniej więcej roku, to mi te skonfiskowane papiery z Rzepina odesłali, pocztą poleconą, opakowane w białe płótno. Mogli sobie darować, bo i tak po kilku tygodniach dostałem przez okazję większość skonfiskowanych tekstów.